

MY FAIR LADY PO POLSKU

Fot. E. Hartwig



Masowy widz teatralny poszukuje rozrywki. Rozrywki bywają różne. Przeważnie na poziomie „Syreny”, czyli takie, w których elementy „humoru” sięgają (mierząc od podłogi) pępka — a już najwyżżej biustu. Prawie zwątpiliśmy w możliwość zabawy jednocześnie kulturalnej i śmiesznej. Dopiero musical Lerner i Loewego (wg „Pygmaliona” G. B. Shawa) „My Fair Lady”, który obiegłszy triumfalnie cały świat, dotarł wreszcie do Polski — udowodnił, że istnieje „godziwa” i bardzo śmieszna forma sceniczna. Musical jest wynalazkiem Amerykanów i zrećnie łączy w sobie elementy operetki, rewii i komedii.

Istnieje jednak poważna trudność — od aktorów tego gatunku scenicznego wymaga się nie lada wszechstronnej sprawności: muszą mieć tzw. warunki, dobrą umiejętność gry aktorskiej, no i muszą umieć tańczyć i śpiewać. Tego typu aktorów u nas prawie nie ma, a

w każdym razie można ich policzyć na palcach lewej ręki.

Z tym większą więc ciekawością szedłem do Teatru „Komedia” na Żoliborzu.

Cóż, wypadło bardzo zgrabnie. Teatr ma zapewnione komplety na wiele lat, a kolejka do biletów już dziś jest dwumiesięczna.

Wielka w tym zasługa autorów libretta, ale jeszcze większa autorów znakomitego przekładu polskiego: Antoniego Marianowicza i Janusza Minkiewicza. Zwłaszcza piosenki Minkiewicza są wręcz mistrzowskie.

Oczywiście ten gatunek sceniczny wymaga specjalnej oprawy — „wystawy”, pięknych strojów i tłumu statystów. „Komedia” nie rozporządza środkami finansowymi teatrów Broadwayu. Z konieczności położono nacisk na aktorstwo, sprawność i tempo spektaklu.

Rolę tytułową gra Barbara Rylska, popularna piosenkarka, która zaskoczyła nas aktorstwem wysokiej klasy — nie posądzaliśmy jej o zdolność tak subtelnego cieniowania akcentów liryzmu i melancholii.

Drugą czołową postacią jest profesor Higgins w świetnej interpretacji

Edmunda Fettinga, znakomitego aktora „Teatru Dramatycznego” (tu występującego gościnnie). Oczywiście gra Fettinga nie może być zaskoczeniem — zaskoczeniem jest tylko pomysł tak trafnego obsadzenia tej roli.

Trzecią kreacją aktorską jest Alfred Doolittle, pijak-filozof, w wykonaniu Wojciecha Rajewskiego. Dwie dowcipnie cyniczne piosenki w jego brawurowej interpretacji widownia przyjmuje huraganem braw.

Reszta zespołu, z nielicznymi wyjątkami, sprawna — choć oczywiście pozostaje daleko w tyle za czołowymi wykonawcami.

Scenografia Krystyny Zachwatowicz i Kazimierza Wiśniaka nie wszystkim się podoba. Niesłusznie. Malowane kotary były jedynym sensownym wyjściem przy tak małej scenie, a kostiumy są naprawdę ładne i trafnie osadzone w epoce.

Reżyserzy: Thomas Andrew, Jan Biczyski i Jagienka Zychówna mieli (w tych warunkach) zadanie wyjątkowo ciężkie. Wybrnęli z niego zrećnie. Sądzę, że nikt inny lepiej od nich nie mógł przygotować tego czarującego spektaklu.

STANISŁAW OSTROWSKI